

# NICHOLAS SPARKS

ŚLUB



# Prolog

Zastanawia mnie, czy to możliwe, żeby dorośli mógł się zmienić? Czy nie jesteśmy aby skazani na egzystencję w nieprzekraczalnych granicach swojego charakteru i nawyków?

Jest połowa października dwa tysiące trzeciego roku, a ja zadaję sobie te pytania, obserwując ćmy szturmujące zawzięcie klosz werandowej lampy. Siedzę sam. Jane, moja żona, śpi na górze. Nawet nie drgnęła, kiedy wyslizgiwałem się z łóżka. Jest późno, północ dawno już wybiła, a rześkie powietrze zwiastuje wczesną zimę. Mam na sobie gruby bawełniany szlafrok. Myślałem, że uchroni mnie przed zimnem, lecz spostrzegam, że dłonie mi dygoczą, chowam je więc do kieszeni.

Nade mną gwiazdy; przywodzą na myśl kropelki srebrnej farby rozpryskanej po smolistoczarnym płótnie. Widzę Orióna i Plejady, Wielką Niedźwiedzicę i Koronę Północną, i łudzę się, że zainspiruje mnie świadomość, że patrząc na gwiazdy, zaglądam jednocześnie w przeszłość. Konstelacje skrzą się światłem wyemitowanym eony temu, a ja czekam na natchnienie, na słowa, których poeta mógłby użyć do uchylenia rąbka tajemnic życia. Na próżno.

Wcale mnie to nie dziwi. Nigdy nie uważałem się za człowieka sentymentalnego i moja żona, gdybyście ją o to zapytali, potwierdziłaby, że nim nie jestem. Nie wzruszają mnie filmy ani sztuki teatralne, nigdy nie byłem marzycielem, a jeśli jestem w czymś biegły, to chyba tylko w znajomości przepisów podatkowych. Większość dni i lat mojej pracy zawodowej — jestem prawnikiem i specjalizuję się w sprawach majątkowych — upłynęła w towarzystwie ludzi gotujących się na śmierć. Wiem, wiem, pewnie niejeden z was pomyśli sobie, że właśnie to tak spłyciło moje życie. Ale jeśli to nawet prawda, co ja na to poradzę? Nic mnie nie usprawiedliwia i żywię tylko nadzieję, że pod koniec tej opowieści spojrzycie na tę skazę mojego charakteru nieco przychylniej.

Żebyśmy się dobrze zrozumieli; może i nie jestem sentymentalny, ale też nie całkiem pozbawiony emocji. Zdarza się, że coś wprawia mnie w głęboki zachwyty. Zazwyczaj spada to na mnie zniecka, dajmy na to, kiedy stoję z zadartą głową pośród gigantycznych sekwoi w Sierra Nevada, albo patrzę, jak fale oceanu rozbijają się o skały przyłądka Hatteras, strzelając w niebo pióropuszcami słonej piany. W zeszłym tygodniu szli przede mną chodnikiem ojciec z synkiem i w pewnej chwili malec wziął ojca za rękę, a mnie na ten widok ścisnęło w gardle. To nie wszystko: zdarza mi się stracić poczucie czasu, kiedy obserwuję chmury gnane wiatrem po niebie, a słysząc grzmot, podchodzę zawsze do okna i wypatruję błyskawicy. I kiedy jej oślepiający zygzak pruje niebo, ogarnia mnie często niewytłumaczalna tęsknota, chociaż, zabijcie mnie, nie potrafię powiedzieć za czym.

Nazywam się Wilson Lewis i chcę wam opowiedzieć o pewnych zaślubinach. Jest to zarazem historia mojego małżeństwa, ale chociaż ja i Jane już trzydzieści lat jesteśmy razem, to chyba powinienem zacząć od przyznania się, że o małżeństwie wiem tyle co nic. Nie potrafiłbym nikomu

niczego sensownego w tej kwestii doradzić. Od samego początku naszego małżeństwa byłem samolubny i uparty, a swoją ignorancją mógłbym wpędzić w kompleksy złotą rybkę, i teraz, kiedy to sobie uświadamiam, bardzo mi wstyd. Jednak oglądając się wstecz, dochodzę do wniosku, że przynajmniej co do jednego byłem w porządku: otóż przez wszystkie te wspólnie spędzone lata kochałem moją żonę. Zanim pomyślicie, że to rzecz oczywista i niewarta wzmianki, powiem wam, że był czas, kiedy wiedziałem z całą pewnością, że moja żona nie czuje do mnie tego, co ja do niej.

Owszem, we wszystkich małżeństwach raz jest lepiej, raz gorzej, i uważam, że to zupełnie naturalne w długotrwałych związkach dwojga ludzi. My z żoną mamy już za sobą śmierć obojga moich rodziców, śmierć jej matki, a teraz spadła na nas choroba jej ojca. Przeprowadzaliśmy się cztery razy. W pracy zawodowej zawsze dobrze mi się układało, choć kosztem wielu wyrzeczeń. Mamy troje dzieci i chociaż żadne z nas nie zamieniłoby doświadczenia rodzicielstwa na wszystkie skarby Tutanchamona, to przyznam, że liczne nieprzespane noce i częste wizyty w szpitalu, kiedy dzieci były małe, wyczerpywały nas i nierzadko podłamywały. Nie muszę chyba wspominać, że okresu dojrzewania naszych pociech wolałbym nie przeżywać ponownie.

Każdy z takich problemów wywołuje stres u obojga partnerów. W moim przekonaniu, gdy chodzi o stres, małżeństwo jest z jednej strony błogosławieństwem, z drugiej przekleństwem. Błogosławieństwem, bo masz na kim rozładować codzienne napięcia; przekleństwem, bo rozładowujesz je na kimś, na kim ci bardzo zależy.

Dlaczego o tym wspominam? Bo chcę podkreślić, że w obliczu wszystkich tych problemów nigdy nie zwątpiłem w moje uczucia do żony. Jasne, bywały dni, kiedy przy śniadaniu staraliśmy się na siebie nie patrzeć, ale mimo

wszystko zawsze wiedziałem, że to tylko przejściowy kryzys. Skłamałbym, twierdząc, że ani razu nie zastanawiałem się, co by to było, gdybym poślubił inną kobietę, ale przez wszystkie te wspólnie spędzone lata nawet przez moment nie żałowałem, że wybrałem właśnie ją i że ona wybrała mnie. Kiedy już mi się wydawało, że nasz związek okrzepł, okazało się, że byłem w błędzie. Dokonałem tego odkrycia nieco ponad rok temu — dokładnie przed czternastoma miesiącami — i przede wszystkim ono stało się katalizatorem późniejszych wypadków.

Cóż takiego się wtedy wydarzyło, spytacie?

Zważywszy na moje lata, może się nasuwać przypuszczenie, że był to jakiś nieodpowiedzialny wybryk spowodowany kryzysem wieku średniego. Dajmy na to, zapragnąłem ni z tego, ni z owego zmienić swoje życie, albo dopuściłem się zdrady. Nic z tych rzeczy. Nie, mój grzech był w zasadzie drobnym incydentem, który w innych okolicznościach mógłby stać się w przyszłości tematem zabawnej anegdotki. Ale zranił moją żonę, zranił nas oboje, więc od tego miejsca wypada mi zacząć tę opowieść.

Był dwudziesty trzeci września dwa tysiące drugiego roku, a oto czego się tego dnia dopuściłem. Wstałem, zjadłem śniadanie, a następnie, jak zwykle zresztą, spędziłem cały dzień w biurze. Czym tam się zajmowałem, nie ma tu nic do rzeczy; szczerze mówiąc, nie przypominam sobie, pamiętam tylko, że niczym nadzwyczajnym. Wróciłem do domu o zwykłej godzinie i mile zaskoczył mnie widok Jane przygotowującej w kuchni moje ulubione danie. Kiedy się odwróciła, żeby mnie powitać, wydało mi się, że zerka przelotnie na moje ręce, jakby spodziewała się, że poza teczką będę trzymał w nich coś jeszcze, ale nie trzymałem. Godzinę później zasiedliśmy do kolacji. Po posiłku Jane zaczęła sprzątać ze stołu talerze, a ja wziąłem teczkę z dokumentami, nad którymi chciałem jeszcze trochę popracować, i zaszłyłem

się w gabinecie. Pochylając się nad pierwszą kartką, dostrzegłem kątem oka stojącą w drzwiach Jane. Wycierała ręce w ścierkę do naczyń, a na jej twarzy malowało się rozczarowanie, emocja, którą po tylu latach potrafiłem bezbłędnie rozpoznać, choć nie zawsze skojarzyć z przyczyną.

— Nie masz mi nic do powiedzenia? — spytała po chwili.

Zawahałem się, podejrzewając, że za tym niewinnym pytaniem kryje się chyba coś więcej, niż mogłoby się na pozór wydawać. Przemknęło mi przez myśl, że może chce usłyszeć moją opinię o nowej fryzurze. Popatrzyłem na jej włosy — żadnej zmiany. Zawsze starałem się zauważać takie rzeczy. Teraz byłem w kropce. Patrzyliśmy na siebie, a ja gorączkowo szukałem słów.

— Jak ci minął dzień? — spytałem w końcu.

W odpowiedzi uśmiechnęła się jakoś dziwnie, półgębkiem, i odwróciła.

Teraz wiem, oczywiście, o co jej chodziło, ale wtedy wzruszyłem tylko ramionami i wróciłem do przerwanej pracy, uznając to za jeszcze jeden dowód na tajemniczość kobiecej natury.

Późnym wieczorem, kładąc się do łóżka i moszcząc wygodnie, usłyszałem szloch. Jane leżała na boku, plecami do mnie, ramiona jej drżały. Nie do wiary, płakała! Nie odzywałem się, czekałem, aż sama mi powie, co ją wyprowadziło z równowagi, ale doczekałem się tylko kolejnej serii spazmatycznych wdechów przez łyżę. Krtań mi się ścisnęła, strach zajrzał w oczy. Starałem się go stłumić, odpędzać myśli, że coś złego stało się z jej ojcem albo z dziećmi. A może usłyszała jakąś niedobłą nowinę od swojego lekarza? Starałem się nie dopuszczać do siebie myśli, że może to jakiś problem, którego nie będę w stanie rozwiązać. Przyłożyłem dłoń do jej pleców w nadziei, że ten gest trochę ją uspokoi.

— Co się stało? — spytałem.

Nie odpowiedziała od razu. Z przeciągłym westchnieniem naciągnęła sobie kołdrę na ramiona.

— Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy ślubu — wyszeptwała.

Dwadzieścia dziewięć lat, przypominałem sobie, i dopiero teraz zauważyłem, że na komódce w kącie pokoju leżą elegancko zapakowane prezenty, które mi z tej okazji kupiła.

Najzwyczajniej w świecie zapomniałem.

Nie było na to usprawiedliwienia, zresztą nawet go nie szukałem. Bo i po co? Przeprosiłem, a jakże, nazajutrz przeprosiłem jeszcze raz; i ona wieczorem, otwierając flakonik perfum, który wybrałem starannie z pomocą młodej ekspedientki w Belk's, uśmiechnęła się, podziękowała i poklepała mnie po udzie.

Siedziałem obok niej na sofie przekonany, że kocham ją nadal tak samo mocno, jak w dniu, w którym braliśmy ślub. Ale kiedy na nią spojrzałem, uciekła nieobecny wzrokiem gdzieś w bok i przekrzywiła głowę ruchem niewątpliwie wyrażającym smutek, a ja uświadomiłem sobie nagle, że nie jestem tak do końca pewny, czy i ona wciąż mnie kocha.

# Rozdział 1

Sama myśl, że żona może cię już nie kochać, jest jak uderzenie obuchem w głowę. Tamtego wieczoru Jane dawno już wyniosła się z perfumami na górę, do naszej sypialni, a ja wciąż siedziałem na sofie i zachodziłem w głowę, jak wybrnąć z zaistniałej sytuacji. Z początku wmawiałem sobie, że Jane zareagowała po prostu emocjonalnie i że przejmuję się tym wszystkim więcej niż to warto. Ale im dłużej rozpamiętywałem jej zachowanie, tym wyraźniej wyczuwałem w nim nie tylko żal do roztargnionego małżonka, ale również ślady starszej urazy — tak, jakby moja wpadka stanowiła jedno z długiej serii potknięć, które ostatecznie przeważały szalę.

Czyżby Jane była rozczarowana naszym małżeństwem? Wzbraniałem się tak myśleć, ale jej mina mówiła sama za siebie i chcąc nie chcąc, zacząłem się zastanawiać, co to oznacza dla nas w przyszłości. Czy Jane rozważa ewentualność odejścia ode mnie? Czy żałuje teraz, że zgodziła się mnie poślubić? Były to rozdzierające pytania — a odpowiedzi na nie może jeszcze straszniejsze — bo aż do tej pory zakładałem, że Jane jest ze mną tak samo dobrze jak mnie z nią.



Co, zastanawiałem się, sprawiło, że w tak różny sposób teraz na siebie patrzymy?

Trzeba chyba zacząć od tego, że wiele osób uznałoby naszą rodzinę za zupełnie zwyczajną. Jak większość mężczyzn, czuję się w obowiązku zapewnić rodzinie finansowe bezpieczeństwo, a pnać się po szczeblach kariery, zawsze mogłem liczyć na żonę. Od trzydziestu lat pracuję w kancelarii prawniczej Ambry, Saxon and Tundle w New Bern w Karolinie Północnej, a moje dochody — choć nie takie znowu wysokie — wystarczają, by sytuować naszą rodzinę w wyższej klasie średniej. W weekendy gram w golfa i pracuję w ogrodzie, preferuję muzykę klasyczną i co rano czytam gazety. Jane, chociaż była kiedyś nauczycielką w szkole podstawowej, niedługo po ślubie zrezygnowała z pracy i poświęciła się wychowaniu trójki naszych dzieci. Prowadzi dom i dba o nasze życie towarzyskie, a jej dumą są albumy ze skrzętnie gromadzonymi fotografiami dokumentującymi historię naszego związku. Dorobiliśmy się murowanego domu z płotkiem ze sztachet i zraszaczami, mamy dwa samochody i jesteśmy członkami zarówno Klubu Rotariańskiego, jak i Izby Handlowej. Od początku naszego małżeństwa oszczędzaliśmy na emeryturę, zmajstrowaliśmy w jego trakcie drewnianą huśtawkę na podwórku za domem, która stoi teraz nieużywana, uczestniczyliśmy w dziesiątkach wywiadówek, regularnie głosowaliśmy i każdej niedzieli chodzimy do kościoła episkopalnego. Mam pięćdziesiąt sześć lat i jestem o trzy lata starszy od żony.

Pomimo uczucia, jakim darzę Jane, myślę sobie czasami, że trudno o mniej dobraną od nas parę. Różnimy się pod każdym niemal względem i chociaż przeciwieństwa podobno się przyciągają, to wydaje mi się, że w dzień ślubu to ja dokonałem lepszego wyboru. Jane jest typem człowieka, którym sam zawsze chciałem być. Podczas gdy ja przejawiam tendencje do stoicyzmu i kierowania się logiką, Jane jest

spontaniczna i wesoła, a swoją wrodzoną empatią potrafi zjednać sobie każdego. Jest skora do śmiechu i ma wielu przyjaciół. Uświadomiłem sobie niedawno, że większość moich przyjaciół to mężowie przyjaciółek mojej żony, ale to chyba normalne wśród małżeńskich par w naszym wieku. Na szczęście Jane zawsze wybierała przyjaciół, mając na uwadze mnie, i jestem jej za to wdzięczny. Czasami myślę sobie, że gdyby nie ona, wiódłbym żywot pustelnika.

To nie wszystko. Zachwyca mnie jeszcze, że Jane w okazywaniu swoich emocji jest jak dziecko. Kiedy jej smutno, płacze, kiedy jest szczęśliwa, śmieje się. Potrafi ją rozbawić nawet jakiś zaskakujący gest czy mina. W takich momentach emanuje z niej jakaś ponadczasowa niewinność i chociaż zaskoczenie jest z definicji niespodziewane, u Jane samo wspomnienie takiego zdarzenia potrafi rozbudzić wesołość nawet wiele lat po fakcie. Czasami, kiedy się zaduma i spytam ją, o czym tak myśli, ona figlarnym tonem zaczyna mi opowiadać o czymś, o czym dawno już zapomniałem. Nigdy nie przestanie mnie to zachwycać.

Jane, choć obdarzona najwrażliwszym z serc, pod wieloma względami jest silniejsza ode mnie. Wartości i przekonania, którymi się kieruje, wywodzą się, jak u większości kobiet z południa, z wiary w Boga i rodzinę; patrzy na świat przez pryzmat czerni i bieli, dobra i zła. Trudne decyzje podejmuje instynktownie — i przeważnie są to decyzje trafne — podczas gdy ja analizuję w nieskończoność niezliczone opcje i często sam siebie zapędzam w kozi róg. No i w odróżnieniu ode mnie Jane rzadko bywa skrzępowana. Takie nieprzejmowanie się opinią innych wymaga pewności siebie, której mnie zwykle brakuje i której bardzo jej zazdroścę.

Podejrzewam, że część różnic między nami wynika z warunków, w jakich dorastaliśmy. Jane pochodzi z małego miasteczka, gdzie wychowywała się z trojgiem rodzeństwa

pod okiem kochających rodziców, ja urodziłem się i dorastałem w Waszyngtonie, byłem jedynakiem, a moi rodzice — prawnicy rządowi — rzadko wracali z pracy przed siódmą wieczorem. W rezultacie mnóstwo czasu spędzałem w samotności i wciąż najlepiej czuję się w zaciszu swojego gabinetu.

Jak już wspominałem, mamy troje dzieci i chociaż bardzo je kocham, wszystkie są w zasadzie ukształtowane przez moją żonę. Ona je urodziła, ona wychowywała i z nią najbardziej są zżyte. Chociaż żałuję niekiedy, że nie spędzałem z nimi tyle czasu, ile należało, to uspokaja mnie świadomość, że Jane wynagrodziła im zawiązką niedostatek obecności ojca. Można śmiało powiedzieć, że nasze dzieci wyszły na ludzi bez mojego specjalnego udziału. Są teraz dorosłe i samodzielne, ale jesteśmy szczęśliwi, że tylko syn przeniósł się do innego stanu. Obie córki odwiedzają nas regularnie i żona zawsze trzyma w lodówce ich ulubione potrawy na wypadek, gdyby przyjechały głodne, co jakoś nigdy się nie zdarza. Potrafią za to godzinami rozmawiać z Jane.

Anna ma dwadzieścia siedem lat i jest najstarsza. Czarne włosy i ciemne oczy podkreślają jej mroczną naturę. Jako nastolatka przejawiała skłonności do melancholii i przesiadywała wiecznie w swoim pokoju, słuchając posępnej muzyki i pisząc pamiętnik. Była mi wtedy obca; potrafiła przez wiele dni nie odezwać się słowem w mojej obecności, a ja zachodziłem w głowę, czymże to zasłużyłem sobie na takie traktowanie. Wszystko, co powiedziałem, kwitowała pełnym politowaniem westchnieniem i kręceniem głową, a kiedy pytałem, co ją trapi, patrzyła na mnie tak, jakby nie rozumiała, czego od niej chcę. Moja żona zdawała się nie dostrzegać w jej zachowaniu niczego niezwykłego, mówiła, że to faza dorastania typowa dla młodych dziewcząt, ale przecież z nią Anna rozmawiała. Nieraz, przechodząc obok pokoju Anny, słyszałem, jak ze sobą szepcą, ale kiedy

usłyszały moje kroki za drzwiami, szepty natychmiast cichły. Kiedy później pytałem Jane, o czym dyskutowały, zbywała mnie wzruszeniem ramion i tajemniczym machnięciem ręki, tak jakby jedynym ich celem było utrzymywanie mnie w niewiedzy.

Mimo to Anna, jako pierworodna, zawsze była moją ulubienicą. Nie wszystkim bym się do tego przyznał, ale podejrzewam, że ona o tym wie, i ostatnio dochodzę do przekonania, że nawet w tamtych milczących latach darzyła mnie większym uczuciem, niż mi się wydawało. Pamiętam jak nieraz, kiedy ślezczałem w swoim gabinecie nad aktami darowizn albo testamentami, uchylała cicho drzwi i wślizgiwała się na palcach. Snuła się po pokoju, przepatrując grzbiety książek na półkach i sięgając od czasu do czasu po którąś, ale wystarczyło, że się do niej odezwałem, a wychodziła tak samo cicho, jak weszła. Z czasem nauczyłem się nic nie mówić i bywało, że spędzała w moim gabinecie nawet godzinę, przyglądając się, jak nanoszę poprawki na projekty dokumentów. Jeśli na nią zerknąłem, uśmiechała się porozumiewawczo. Wyraźnie bawiła ją ta gra. Nadal nie bardzo rozumiem, na czym polegała, ale zapadła mi w pamięć jak mało co.

Anna pracuje w gazecie „Raleigh News and Observer”, ale o ile mi wiadomo, jej marzeniem jest zostać powieściopisarką. W college’u jako przedmiot wiodący wybrała twórcze pisarstwo, a opowiadania, które pisała, były tak samo mroczne jak jej osobowość. Z tych, które przeczytałem, pamiętam jedno. Jego bohaterką była młoda dziewczyna, pracująca jako prostytutka, żeby opiekować się chorym ojcem, który kiedyś ją molestował. Odkładając maszynopis, nie bardzo wiedziałem, co o nim myśleć.

Anna jest teraz do szaleństwa zakochana. Zawsze ostrożna i rozważna w swoich wyborach, była również bardzo wymagająca jeśli chodzi o mężczyzn, i na szczęście Keith

wygląda mi na faceta, który jej nie skrzywdzi. Chce zostać ortopedą i bije od niego pewność siebie człowieka, którego życie nie rozpieszczało. Jane powiedziała mi, że na pierwszej randce Keith zabrał Annę na plażę pod Fort Macon i puszcza tam latawca. Jeszcze tego samego tygodnia Anna przyprowadziła go do domu. Keith przyszedł w sportowej kurtce, świeżo wykapany i pachnący wodą kolońską. Kiedy ściskaliśmy sobie dłonie, patrzył mi w oczy, i zrobił na mnie wrażenie, mówiąc: „Bardzo miło mi pana poznać, panie Lewis”.

Joseph, nasz syn, jest o rok młodszy od Anny. Zawsze nazywał mnie „tatką”, chociaż nikt w naszej rodzinie nie używał nigdy tego określenia, i był czas, że z nim również nie mogłem znaleźć wspólnego języka. Jest ode mnie wyższy i szczuplejszy, chodzi wyłącznie w dżinsach, a kiedy przyjeżdża do nas na Święto Dziękczynienia albo na Boże Narodzenie, je wyłącznie warzywa. Kiedy był nastolatkiem, uważałem go za milczka, ale on tę małomówność zdawał się, podobnie jak to miało miejsce w przypadku Anny, rezerwować tylko dla mnie. Od innych słyszałem często, że ma poczucie humoru, jednak mnie, jeśli mam być szczery, jakoś nie rzucało się ono w oczy. Ilekroć byliśmy razem, wyzuwałem, że stara się zrobić na mnie wrażenie.

Po Jane odziedziczył empatię. Od dziecka obgryzał paznokcie, zamartwiając się o innych, i teraz ledwie je widać. Podpowiadałem mu, żeby studiował biznes albo ekonomię, lecz nie posłuchał mojej rady i poszedł na socjologię. Pracuje teraz w schronisku dla maltretowanych kobiet w Nowym Jorku, ale nie opowiada nam, czym się tam konkretnie zajmuje. Wiem, że dziwią go wybory, których dokonałem w życiu, tak jak mnie dziwią jego wybory, ale pomimo różnic, jakie nas dzielą, to właśnie z Josephem mogę porozmawiać tak, jak zawsze wyobrażałem sobie rozmowy ze swoimi dziećmi, kiedy były jeszcze niemowlętami. Jest bar-

dzo inteligentny, na testach SAT\* osiągnął prawie maksymalną liczbę punktów, a spektrum jego zainteresowań rozciąga się od historii Środkowego Wschodu po teoretyczne zastosowania geometrii fraktalnej. Jest również szczerzy — czasami aż do bólu — i nie muszę chyba mówić, że kiedy dochodzi między nami do dyskusji, ten aspekt jego osobowości stawia mnie od razu na straconej pozycji. Choć jego nieustępliwość bywa denerwująca, to właśnie w takich momentach jestem szczególnie dumny, że mam takiego syna.

Leslie, najmłodsza, studiuje biologię i fizjologię na Wake Forest i zamierza zostać weterynarzem. Zamiast wracać na letnie wakacje do domu, jak to czyni większość studentów, uczęszcza na dodatkowe zajęcia, bo chce wcześniej zrobić dyplom, a popołudniami pracuje na farmie. Jest ze wszystkich naszych dzieci najweselsza, a jej śmiech brzmi zupełnie jak śmiech Jane. Podobnie jak Anna lubiła składać mi wizyty w moim gabinecie, ale w odróżnieniu od siostry najszcześliwsza była, kiedy poświęcałem jej całą uwagę. Jako dziecko siadała mi na kolanach i ciągnęła za uszy; kiedy podrosła, przychodziła do mnie i opowiadała zasłyszane dowcipy. Na moich półkach stoi mnóstwo prezentów, które od niej dostałem: gipsowe odlewy odcisków jej dłoni, rysunki, naszyjnik z makaronu. Ją najłatwiej było kochać, była pierwsza w kolejce do uścisków i pocałunków rozdzielanych przez dziadków, i bardzo lubiła, zwinęta w kłębek na sofie, oglądać w telewizji romantyczne filmy. Wcale się nie zdziwiłem, kiedy trzy lata temu wybrano ją królową zjazdu absolwentów szkoły średniej, którą ukończyła.

Jest też bardzo uczuciowa. Na swoje urodzinowe przyjęcia zapraszała zawsze całą klasę, żeby nikt, broń Boże, nie poczuł się urażony, a pewnego razu, kiedy miała dziewięć

---

\* SAT — *Scholastic Aptitude Test* — egzamin sprawdzający zdolności naukowe kandydata na studia wyższe

lat, przez całe popołudnie chodziła na plaży od ręcznika do ręcznika, bo znalazła w piasku zegarek i chciała go zwrócić właścicielowi. Ze wszystkich moich dzieci ona przysparzała mi najmniej zmartwień i kiedy nas odwiedza, rzucam wszystko, żeby spędzić z nią czas. Jej energia jest zaraźliwa i przebywając z nią, nie mogę wyjść z podziwu, że jestem taki wniebowzięty.

Teraz, kiedy cała trójka wyfrunęła w świat, nasz dom się zmienił. Dawniej ryczała tu muzyka, teraz cisza dzwoni w uszach; dawniej na półce w spiżarni leżało z osiem rodzajów płatków śniadaniowych, teraz tylko jeden zalecany dla osób po pięćdziesiątce. Umeblowanie w sypialniach naszych dzieci nie uległo zmianie, ponieważ jednak usunęliśmy stamtąd wszystkie plakaty i korkowe tablice — jak również wszystko inne, co mówiło o osobowości lokatora — właściwie niczym się teraz między sobą nie różnią. W naszym domu dominuje pustka. Był idealny dla pięciu osób i odkąd trzy ubyły, przychodzi mi na myśl ogromny magazyn wspomnień. Pamiętam, jak tliła się we mnie jeszcze iskierka nadziei, że właśnie ta zmiana w naszym bezpośrednim otoczeniu tak wpłynęła na Jane.

Pomijając jednak przyczynę, było dla mnie oczywiste, że się od siebie oddaliśmy, i im więcej o tym myślałem, tym szersza wydawała mi się dzieląca nas przepaść. Zaczynaliśmy jako młode małżeństwo, zostaliśmy rodzicami — co zawsze uważałem za naturalne i nieuchronne — by po dwudziestu dziewięciu latach stać się obcymi sobie na dobrą sprawę osobami. Byliśmy nadal ze sobą chyba tylko siłą przyzwyczajenia. Praktycznie żyliśmy obok siebie; wstawaliśmy o różnych porach, całe dni chodziliśmy własnymi ścieżkami i nasze drogi krzyżowały się dopiero wieczorem, a i ten spędzaliśmy właściwie osobno. Nie bardzo się orientowałem, czym ona się zajmuje, kiedy ja jestem w pracy, i przyznawałem w duchu, że sam też nie wszystko jej mówię. Nie

przypominałem sobie, kiedy ostatni raz rozmawialiśmy z Jane, ot tak, jak mąż z żoną.

Ale dwa tygodnie po przeczytanej przeze mnie rocznicy ślubu wreszcie do takiej rozmowy doszło.

— Wilsonie — zagaiła Jane — musimy porozmawiać.

Podniosłem na nią wzrok. Kończyliśmy posiłek, między nami stała butelka wina.

— Mhm?

— Tak sobie myślę, że może wypadałoby odwiedzić Josepha w Nowym Jorku.

— Przecież przyjeżdża na święta.

— Do świąt jeszcze dwa miesiące. A skoro tego lata nie mógł do nas wpaść, to może by tak dla odmiany jemu złożyć wizytę.

Taka kilkudniowa zmiana klimatu mogłaby wyjść na dobre naszemu związkowi. Niewykluczone, że to właśnie miała na myśli Jane, przedstawiając mi swoją propozycję. Sięgnąłem z uśmiechem po kieliszek.

— A wiesz, że to jest pomysł — podchwyciłem. — Ostatni raz byliśmy w Nowym Jorku, kiedy się tam przeprowadzał.

Jane uśmiechnęła się i opuściła wzrok na talerz.

— I jeszcze coś.

— Tak?

— Widzisz, wiem, jaki jesteś zajęty i jak trudno by ci się było wyrwać z pracy...

— Parę dni mnie nie zbawi — wpadłem jej w słowo, kartkując już w myślach swój służbowy kalendarz. Nie będzie łatwo, ale da się zrobić. — Kiedy chcesz jechać?

— No właśnie... — zawahała się.

— Co właśnie?

— Wilsonie, daj mi skończyć. — Wzięła głęboki oddech i nie siląc się nawet na ukrywanie znużenia w głosie, podjęła: — Może źle mnie zrozumiałeś, ale ja chciałabym go odwiedzić sama.



Zamurowało mnie na chwilę.

— Widzę, że się obruszyłeś — zauważyła.

— Skąd — zaprzeczyłem czym prędzej. — To przecież nasz syn. Dlaczego miałbym się obruszać? — I żeby udowodnić, że nic mnie to nie obeszło, odkroiłem nożem solidny kawał kotleta. — To kiedy chcesz jechać? — spytałem.

— W przyszłym tygodniu. W czwartek.

— W czwartek?

— Mam już bilet.

Wstała i zostawiając niedojedzony posiłek, ruszyła w stronę kuchni. Zauważyłem, że unika mego wzroku, domyśliłem się więc, że chce mi powiedzieć coś jeszcze, tylko nie bardzo wie, jak to ująć. Zostałem przy stole sam. Jane stała przy zlewie i gdybym się odwrócił, zobaczyłbym z profilu jej twarz.

— Ale mu zrobisz niespodziankę! — zawołałem z wymuszoną nonszalancją. — Joseph na pewno się ucieszy. Może zabierze cię na jakieś przedstawienie albo gdzieś, jak już tam będziesz.

— Może — usłyszałem w odpowiedzi. — Jeśli znajdzie dla mnie czas.

Kiedy z odkręcanego kranu trysnęła woda, wstałem i odniosłem do zlewu talerz. Jane milczała.

— To będzie udany weekend, zobaczysz — dorzuciłem.

Odebrała ode mnie talerz i podstawiła go pod bieżącą wodę.

— Och, jeśli już o tym mowa... — zaczęła.

— Tak?

— Chciałam tam zostać dłużej niż przez weekend.

Zamarłem.

— To znaczy jak długo?

— Kilka tygodni — odparła.

Nie winiłem, rzecz jasna, Jane za kurs, jaki obrało nasze małżeństwo. Podświadomie zdawałem sobie sprawę, że to

bardziej moja wina, chociaż dotąd nie bardzo wiem, w czym ta wina leży i jak jest wielka. Od początku małżeństwa miałem świadomość, że nie spełniam oczekiwań żony. Wiem, na przykład, że byłem dla niej za mało romantyczny, w każdym razie nie tak romantyczny, jak jej ojciec w stosunku do jej matki. Tu wypada nadmienić, że teść należał do tego typu mężczyzn, którzy po kolacji godzinami trzymają żonę za rękę albo wracając z pracy, kupują jej bukiet polnych kwiatów. Jane od dziecka była pod urokiem romansu rozgrywającego się między rodzicami. Nieraz słyszałem, jak rozmawiając przez telefon ze swoją siostrą Kate, zastanawia się na głos, dlaczego mnie tak trudno pojąć, na czym polega romantyczność. Nie w tym rzecz, że nie próbuję, ja po prostu nie mam pojęcia, jak wprawić czyjeś serce w drzenie. W moim rodzinnym domu nie było żadnego obejmowania się i pocałunków bez okazji i często mam trudności z okazywaniem uczuć, zwłaszcza w obecności dzieci. Rozmawiałem kiedyś o tym z ojcem Jane. Poradził mi, żebym napisał do Jane list. „Napisz w nim, że ją kochasz, powiedział, i wymień powody”. Było to dwanaście lat temu. Pamiętam, że próbowałem pójść za jego radą i siedziałem długo z piórem i pustką w głowie nad czystą kartką. W końcu dałem za wygraną. W odróżnieniu od teścia nigdy nie czułem się dobrze, afiszując się ze swoimi uczuciami. Jestem odpowiedzialny, owszem. Wierny, bez wątpienia. Można na mnie polegać, zdecydowanie. Ale romantyzm, przyznaję to z przykrością, jest mi obcy jak rodzenie.

Zastanawiam się, czasami, ilu podobnych do mnie mężczyzn chodzi po tym świecie.

Zadzwoiłem do Nowego Jorku, ciekaw, jak czuje się tam Jane. Odebrał Joseph.

— Cześć, tатku — rzucił od niechcienia.

— Cześć. Co u ciebie?

— W porządku — odparł. I po długiej przerwie, jakby te słowa nie chciały przejść mu przez gardło, zapytał: — A u ciebie?

Przestąpiłem z nogi na nogę.

— Pusto tu się jakoś zrobiło, ale radzę sobie. — Zawiesiłem głos. — Jak tam mama?

— W porządku. Organizuję jej czas jak mogę, żeby się nie nudziła.

— Zakupami i zwiedzaniem?

— To też. Ale przeważnie rozmawiamy. Bardzo interesujących rzeczy się dowiaduję.

Zawahałem się. Ciekaw byłem, jakich konkretnie, ale Joseph wyraźnie nie odczuwał potrzeby rozwijania tematu.

— Mhm — mruknąłem, siląc się na lekki ton. — Jest gdzieś w pobliżu?

— W tej chwili nie. Pobiegła do sklepu. Ale lada chwila powinna wrócić. Ma oddzwonić?

— Nie, nie trzeba. Powiedz jej tylko, że dzwoniłem. Gdyby chciała mimo wszystko zadzwonić, to nigdzie już dzisiaj nie wychodzę.

— Powtórzę jej — obiecał. I po chwili dorzucił: — Hej, tatku? Chciałem cię o coś zapytać.

— Tak?

— Naprawdę zapomniałeś o rocznicy ślubu?

Wziąłem głęboki wdech.

— A tak — bąknąłem. — Zapomniałem.

— Jak to możliwe?

— Nie wiem. Pamiętałem, że się zbliża, ale kiedy nadzedł ten dzień, zwyczajnie wyleciało mi z głowy. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

— Ma do ciebie żal — powiedział.

— Wiem.

W słuchawce zapadła cisza.

— A wiesz dlaczego? — spytał po dłuższej chwili milczenia.

Nie odpowiedziałem mu, ale chyba wiedziałem.

Jane po prostu nie chciała, żebyśmy skończyli jak te podstarzałe małżeństwa, które widywaliśmy czasem, jedząc na mieście, i które zawsze budziły w nas politowanie.

Pary te, a jakże, są zwykle wobec siebie bardzo uprzejme; mąż odsuwa żonie krzesło albo pomaga jej zdjąć płaszcz, żona poleca mu jakiś specjał z karty dań. A kiedy podchodzi kelner, jedno doprecyzowuje zamówienie drugiego ze znawstwem nabytym w ciągu wspólnie spędzonych lat — jajecznicą niesoloną, tost grubiej posmarowany masłem i tym podobne.

Ale po złożeniu zamówienia nabierają wody w usta.

Sączą drinki, patrzą w okno, czekają w milczeniu na kelnera z tacą. Kiedy ten się zjawia, zamieniają z nim parę słów — na przykład proszą o dolewkę kawy — ale po jego odejściu szybko wycofują się do swoich świątków. I przez cały posiłek zachowują się jak obcy sobie ludzie, których przypadek posadził przy tym samym stoliku. Można by pomyśleć, że dotrzymywanie sobie towarzystwa to w ich mniemaniu wysiłek niewart zachodu.

Może wyciągam zbyt daleko idące wnioski, może im z tym dobrze, zastanawia mnie tylko, co sprawiło, że tak na siebie zobojętnieli.

I kiedy Jane była w Nowym Jorku ni stąd, ni zowąd naszła mnie obawa, że i my jesteśmy na prostej drodze do takiego finału.

Pamiętam, że z duszą na ramieniu czekałem na Jane na lotnisku. Nie było to przyjemne uczucie i odetchnąłem z ulgą, kiedy uśmiechnęła się, przechodząc przez bramkę i kierując w moją stronę. Odebrałem od niej podręczną torbę.

— Jak podróż? — spytałem.

— Dobrze, dziękuję. Nie wiem, co Joseph widzi w tym Nowym Jorku. Te tłumy, ten hałas. Za żadne skarby nie chciałabym tam mieszkać.

— Wszędzie dobrze, ale najlepiej w domu?

— Żebyś wiedział — westchnęła. — Ależ jestem zmęczona.

— Wyobrażam sobie. Podróże zawsze męczą.

Zamilkliśmy na chwilę. Przełożyłem jej torbę do drugiej ręki.

— Co tam u Josepha? — spytałem.

— Dobrze. Chyba przybrał trochę na wadze od czasu, kiedy ostatnio u nas był.

— Żadnych rewelacji poza tym, co mi mówiłaś przez telefon?

— Właściwie nie. Może tylko tyle, że dużo pracuje.

Zaniepokoił mnie cień smutku w jej głosie. Zastanawiając się, skąd się bierze, zobaczyłem ściskającą się młodą parę. Wyglądali, jakby nie widzieli się od lat.

— Cieszę się, że już wróciłaś — powiedziałem.

Spojrzała mi w oczy i odwróciła się powoli do taśmy z bagażami.

— Wiem.

Tak przedstawiały się nasze sprawy przed rokiem.

Chciałbym wam oznajmić, że po powrocie Jane z Nowego Jorku wszystko wróciło do normy, ale nie wróciło. Było tak jak przedtem; dni mijały, a my nadal żyliśmy obok siebie. Nie chodzi o to, że Jane była na mnie obrażona, ale szczęśliwa też nie była, a ja, chociaż miałem najlepsze chęci, nie potrafiłem temu zaradzić. Wyglądało to tak, jakby nie wiedzieć kiedy wyrósł między nami mur. Późną jesienią, trzy miesiące po przeoczonych rocznicy, byłem już tak niespokojny o nasz związek, że postanowiłem porozmawiać z jej ojcem.